

Kinga Kalinowska

Ja to mam SZCZĘŚCIE!

Kinga Kalinowska

Ja to mam szczęście!

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2016

Kinga Kalinowska

„Ja to mam szczęście!”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o. o. 2016

Copyright © by Kinga Kalinowska 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Agnieszka Marzol

Projekt okładki: Robert Rumak

Zdjęcie okładki © Fotolia - christophe BOISSON; Fotolia - Aloksa

Korekta: Ryszard Krupiński, Marlena Rumak

ISBN: 978-83-7900-589-5

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

http://wydawnictwo.psychoskok.pl

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Lipiec 2015 5

Październik 2015 34

Czerwiec 1990 52

Grudzień 2015 56

Kwiecień 2016 71

Lipiec 2016 79

Lipiec 2015

I

„Ja to mam szczęście" - myślę po raz n-ty i wzdycham głęboko, pakując starannie zwiniętą koszulkę do walizki (to ważne, żeby zwijać, nie składać, więcej się zmieści, a mniej pogniecie). Pakowanie do podróży mam wytrenowane do perfekcji, więc mogę działać na autopilocie i jednocześnie snuć luźne rozważania.

Lipiec jest chłodny, Olsztyn cały rozkopany wskutek „rewitalizacji transportu tramwajowego", zakorkowany, z ciągle zmieniającymi się trasami dozwolonego przejazdu, co potrafi wkurzyć, bo jesteśmy już tym zmęczeni, ciągnie się od zeszłego września i uśmiech na widok tablic z tekstem "Kierowco, uśmiechnij się, budujemy to dla ciebie" jest coraz bardziej krzywy. Co mądrzejsi, ze mną włącznie, traktują tego rodzaju niedogodność na spokojnie, dostosowując się do aktualnego układu. Co głupsi stoją w korkach i pultają się bezproduktywnie.

Bo tak w ogóle Olsztyn jest super miastem do

zamieszkania, nie za duży, nie za mały, coraz ładniejszy z każdym rokiem, nowa plaża miejska z przyległościami na europejskim poziomie, stare, piękne obiekty sukcesywnie remontowane, pięknie wyeksponowana Łyna przez otoczenie jej parkiem, Galeria Warmińska to chyba nawet jakąś nagrodę architektoniczną zdobyła, no i w ogóle Starówka, zamek, katedra i tak dalej długo by wymieniać. Mnie, jako kierowcę, interesują nowe rozwiązania komunikacyjne, i póki co, widzę, że idzie to w dobrym kierunku. Poza wszystkim, ponieważ wiadomo, że forsa na to wszystko głównie z Unii idzie, jakoś łatwiej znieść uciążliwości ciągnących się w nieskończoność robót. Już nie mogę się doczekać porządnej drogi do Warszawy, gdzie często dojeżdżam do pracy, ale to jeszcze melodia przyszłości.

Mieszkając w Olsztynie, mam w otoczeniu osoby o różnym pochodzeniu i zwyczajach kulturowych, co bardzo mi odpowiada. Od dziecka miałam koleżanki i kolegów pochodzących z różnych stron Polski, przed i powojennej (wygnańcy z Wileńszczyzny i Zachodniej Ukrainy, warszawiacy, żołnierze AK, weterani Powstania Warszawskiego), a także różnej narodowości, przede wszystkim Niemców i Ukraińców z akcji „Wisła", bo

wychowywałam się w małym mieście na Mazurach, gdzie i nasi rodzice i my dzieci żyliśmy zgodnie, nie zwracając większej uwagi, jakie kto ma pochodzenie. Co prawda większość Niemców i tak wyjechała, ale była to emigracja z przyczyn ekonomicznych, przyjeżdżali czasami odwiedzić stare kąty, spotkać dawnych przyjaciół, znajomych, oni też mieli sentyment do małej ojczyzny z młodości. Wydaje mi się, że dzięki tym różnicom stworzyliśmy jedyne i niepowtarzalne społeczeństwo odporne na propagandę różnych oszołomów i nacjonalistów. Olsztyn dużo zyskuje na wielokulturowości, jest nawet niewielka, ale prężnie działająca mniejszość żydowska. Mamy kościoły protestanckie, katolickie, cerkiew prawosławną i grekokatolicką, wszystkie one latem organizują koncerty, na których chętnie bywam.

Wracając do rzeczywistości, w mieście na razie kaszana. Zamiast więc lecieć do ciepłego kraju, jak na skrzydłach, ja tutaj narzekam na swój los, bo i mam powód. Właśnie teraz interesująca, pachnąca gorącym romansem okazja przechodziła mi obok nosa. Nie da się ukryć, że trochę za dużo wczoraj wypiłam, wino było wyborne, a towarzystwo jeszcze lepsze, bawiłam się bowiem szampańsko z Carlosem, jednym z trzech wakacyjnych lektorów hiszpańskiego, zatrudnionych

w mojej szkole językowej na okres wakacji. Szefowa zapoznawała ich wczoraj ze szkołą i personelem, a potem wszyscy ruszyliśmy w miasto na okoliczność integracji. Od pierwszego wejrzenia wiedziałam, że jestem zainteresowana, i to bardzo, integracją z Carlosem, wysokim przybyszem z Barcelony. Generalnie nie przepadam za brunetami, moim ideałem jest rosły blondyn, a jeszcze lepiej rudy wiking, jednak bruneci zyskiwali u mnie szansę, gdy czas w naturalny sposób rozjaśniał ich włosy, więc mocno szpakowaty Hiszpan mieścił się w moim „targecie". Ruszyliśmy grupowo do pobliskiej, greckiej restauracji, gdzie (dzięki zdobytym przez lata bycia singielką nieustająco i bez wielkich sukcesów, próbującą stworzyć z kimś parę, umiejętnościom) zręcznymi manewrami udało mi się zająć miejsce obok obiektu zainteresowania. Okazał się równie sympatyczny, co przystojny, wspaniale nam się rozmawiało, a po dwóch butelkach wina gotowi byliśmy (już w mniejszej grupie chętnych) na nocne szaleństwo w pobliskim klubie. W Olsztynie jest mnóstwo różnych, fajnych lokali i na każdą kieszeń i przeróżny gust. Tańczył świetnie, ja też nie najgorzej, więc świt (wczesny jak to na początku lipca) zastał nas na parkiecie. Wieczór nadzwyczaj udany, ale z powodu mojego wyjazdu nie będzie dalszego ciągu. Nie ma

obawy, już się nim któraś z koleżanek zaopiekuje.

Zazwyczaj lubię ten dreszczyk, który czuję, gdy wyruszałam w świat. Podoba mi się, że dzięki pracy w różnych dziedzinach uciekam od monotonii, która by mi groziła, gdybym tylko uczyła bez kontaktu z żywym językiem. Wyjazdy pomagają mi utrzymać wysoki poziom znajomości aktualnego hiszpańskiego, co zwiększa moje kompetencje jako lektorki i tłumaczki (a pracuję w jednej z najlepszych szkół językowych w mieście). Za każdym razem z radością wracam do szkoły i do tłumaczenia, zmęczona życiem w drodze, w ciągłej gotowości. Bo bycie pilotem jest jak bycie kapitanem statku, musisz starać się zadowolić turystów, a jednocześnie asertywnie utrzymać wszystko w ryzach. Za każdym razem powtarzam, „bój to był mój ostatni", kończę definitywnie z pilotowaniem. Jednak już po kilku tygodniach pomalutku zaczyna kiełkować w mózgu pomysł na jakiś wyjazd i gdy już tak naprawdę urośnie, że nie mieści mi się w głowie, nie ma rady, wyprowadzam go z głowy i zamieniam w konkretne działanie. Znowu sprawia mi przyjemność perspektywa mojej drugiej pracy, czyli pilotowania wycieczek, nie pamiętam już oczywiście co mnie tak zniechęciło poprzednim razem. Jestem „zresetowana", wypoczęta i gotowa na nowe

wyzwania. I tak cykl od lat się powtarza. Mam to szczęście, że moja szefowa ze szkoły jest wyrozumiała i tak układa kursy, żebym po powrocie z wojaży mogła już po kilku dniach rozpocząć kolejny. Jeżdżę głównie do krajów hiszpańskojęzycznych, byłam wielokrotnie we wszystkich, kocham te kraje, ich język i obyczaje i moją ambicją jest, żeby te swoje ciepłe uczucia przekazać uczniom w szkole i uczestnikom wycieczek. Przeważająca liczba wycieczkowiczów lubi takie emocjonalne zwiedzanie i zawsze mam liczną grupę głodnych wiedzy turystów, nawet wśród koneserów różnych lokalnych napojów rozweselających.

Bywa też, że potrzebna jest obsada do kraju portugalskojęzycznego (portugalski znam średnio na jeża) lub takiego, gdzie wszyscy porozumiewają się po angielsku, a pilot nie zna języka lokalnego (na przykład Sri Lanka), bo oczywiście pilot musi znać angielski. Aha, słabo bo słabo, ale znam też rosyjski, jak każdy z mojego pokolenia (czasem ta znajomość bardzo się przydaje, na przykład gdy pilotuję w Bułgarii).

W tym sezonie popilotuję kilka turnusów w Hiszpanii, a w drugiej połowie października (już się cieszę na to dolce far niente) zamieszkam w charakterze opiekunki domu w Maladze, w nadmorskiej willi

pewnej zaprzyjaźnionej polsko-hiszpańskiej pary. Dostałam tę propozycję od Mirki, bliskiej koleżanki ze studiów, z którą utrzymuję sporadyczny, ale bardzo serdeczny kontakt. Jakieś dwa tygodnie temu zadzwonił telefon:

- Kinga, ratuj, mamy z Paco problem, może ty mogłabyś pomóc. Od połowy do końca października wybieramy się na objazd północnych Włoch. W domu miała zamieszkać, jak zwykle przy takich okazjach, nasza gosposia Maria, ale w tym terminie spodziewa się najazdu krewnych z powodu jakiś rodzinnych uroczystości, może więc przychodzić na parę godzin dziennie, ogarnąć chałupę i posesję, ale mowy nie ma o gotowaniu czy spaniu w naszym domu. Wiesz, monitoring monitoringiem, ale zawsze pewniej, gdy ktoś jest na miejscu. No, błagam, zgódź się, znam cię, lubisz czasem sama wypoczywać, no przecież, lubisz Malagę, masz Internet, więc praktycznie nigdy nie jesteś sama, no, proszę?

- Mirka, ale ja już mam wszystko poustawiane, nie wiem, czy będę mogła wykroić z planu te dwa tygodnie, ale znasz mnie dobrze, propozycja jest kusząca, więc obiecuję, że się postaram. Staraj się, pokrywamy wszystkie koszty, jakie będziesz musiała ponieść, no, nie daj się błagać, zgódź się. Obiecuję, że

zrobię wszystko, co w mojej mocy.

I postarałam się, choć wymagało to wylewania łez, załamywania rąk i tak dalej, ale firmie udało się załatwić za mnie zastępstwo na ten turnus i jeszcze zgodzili się wziąć mnie ze sobą na pokład samolotu, wracającego do Polski po ostatnim objeździe. Cudownie!

II

Kolejna skarpetka wciśnięta do buta, ale zaraz, gdzie jest ta od pary? Zaczyna się poszukiwanie i w łeb bierze teza „jaka to znakomicie zorganizowana jestem w pakowaniu". Prawda jest taka, że choć podejmuję nieustanne próby uporządkowania rzeczy wokół siebie, zawsze znajdzie się taki złośliwy przedmiot (tam jeden, mnóstwo!), któremu wybrałam bardzo dobre miejsce na przechowanie, ale za nic w świecie nie mogę sobie tego miejsca później przypomnieć. Czasem dobre efekty daje rozpoczęcie poszukiwań innej rzeczy, a wtedy ten pierwszy poszukiwany fant wpada nam, jakby niechcący, prosto w ręce. Niestety muszę przyznać: czasami ponoszę porażkę w walce z rzeczami martwymi, ale uruchamiam wtedy plan B i usiłuję przekonać siebie, że jest on o wiele lepszy niż plan A. W tym wypadku planem B będzie wybranie

innych skarpetek, trochę mniej pasujących, ale co tam!

Metodę planu A i B, a nawet czasem C, stosuję do większości życiowych sytuacji. Na przykład z moją córką Martą. Czy ja nie chciałam, żeby poszła na studia, jak należy, potem podjęła odpowiednią dla siebie pracę, później może stworzyłaby jakiś związek? Jednym słowem wszystko po kolei, spokojnie, bezpiecznie, pod moją czułą opieką. Nie, moje dziecko zmusiło mnie do realizacji planu B, czyli, musiałam zgodzić się na jej roczną wędrówkę po Indonezji i jeszcze widzieć w niej dobre strony, jak to, że otrzaska się z samodzielnością, kontakt z inną kulturą da jej szerszą perspektywę, nauczy się doceniać wartość w inności, no i pozna kolejny język. Same plusy, tylko że ja jej tam nie pomogę, nie ochronię przed niebezpieczeństwem, kilka tysięcy kilometrów od niej, skazana jestem na bierne trwanie w niepokoju i niedospane noce. Całe szczęście, że jest Internet i jesteśmy w stałym kontakcie, inaczej chyba umarłabym, a już na pewno zachorowała z lęku o nią. Ma dopiero dwadzieścia lat! Prawda, że od osiemnastego roku życia sama się utrzymuje, pracując w firmie internetowej (naprawdę nie daje mi się dokładać, pozostawiając mi jedynie możliwość dorzucania się do jakiejś rzeczy, na którą samej nie byłoby ją stać,

a na której jej szczególnie zależy), mieszka w Warszawie i żyje własnym życiem. Tak patrzę i widzę, że tak żyje wielu młodych ludzi, mają dużo alternatyw na życie, może czasami zbyt dużo i z tą mnogością możliwości nie zawsze potrafią sobie poradzić. Przyznać jednak trzeba że, jeśli tylko zechcą, świat stoi przed nimi otworem, nie do pomyślenia za mojej młodości.

Ja ją rozumiem, w jej wieku też chciałam mieszkać sama, ale nie miałam jak zarobić w trakcie studiów na samodzielne życie. W rodzinie była trójka dzieci, prawie w tym samym wieku (brat rok starszy, siostra cztery lata młodsza) nie mogę się nadziwić, jakim cudem udawało się moim rodzicom nas utrzymać i to w poczuciu stabilności finansowej, wszyscy na studiach poza domem rodzinnym. Mama pracowała i zajmowała się domem, tata oprócz głównej pracy dorabiał na wielu frontach, no ale coś takiego, jak samodzielne mieszkanie to był luksus, na który mało kto mógł sobie pozwolić. Zamiast tego przez pierwszy, najtrudniejszy rok studiów mieszkałam w czteroosobowym pokoju (do trzyosobowego dostawiono po prostu czwarte łóżko), ale za to w znakomitym towarzystwie, koleżanki wszystkie super. W następnych latach był już pokój trzy, a na ostatnim roku nawet dwuosobowy.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

